

Wspominki psychiatryczne

Z mojej ponaddwudziestoletniej pracy w Oddziale Psychiatrii Dziecięcej najbardziej zapamiętałam ośmioletniego Maciusia, pełnego wdzięku małego schizofrenika, który „książkowo” przemieszczał się na palcach stóp, machając przy tym rączkami, trochę jak skrzydłami. Miał niezwykłą cechę: wydawał się całkowicie niezainteresowany otoczeniem, ale o każdej porze dnia (nocy nie, bo jednak spał) zapytany o godzinę podawał ją cichym, jednostajnym głosem z dokładnością do pięciu-dziesięciu minut. Nie miał zegarka, na oddziale także nie wisiał na ścianie żaden zegar. Zadziwiał wszystkich. Pozostawało to dotąd tajemnicą.

Dziesięcioletni, bardzo inteligentny Januszek panicznie bał się zostać ludożercą. Bał się spożyć niechcący wydalone z dróg rodnych „zapłodnione jajo kobiece”. Usłyszał od księdza, że to już człowiek. Nie mógł absolutnie korzystać z ubikacji, które były używane zarówno przez kobiety, jak i mężczyzn. „Bo gdyby kobieta była przede mną...” Unikał także chodzenia po ulicy, po której przed chwilą przejechała śmieciarka. „Bo gdyby stamtąd coś drobnego wywiało i ja bym to niechcący połknął...” Dziś jest mężczyzną po pięćdziesiątce i mimo stałego leczenia w różnych ośrodkach zamkniętych i otwartych – nadal mierzy się z problemem, choć ciut łagodniej.

Godna wspomnienia wydaje się kilkunastoletnia Magda, która po uderzeniu w głowę malutkim kamykiem przez szkolnego kolegę straciła całkowicie mowę. Kolejne skomplikowane badania diagnostyczne w różnych ośrodkach nie wskazały przyczyny. Gdy trafiła do naszej kliniki – akurat dysponowaliśmy środkami psychozomimetycznymi. Po podaniu jej (chyba psylocybiny?) wcieliłam się bez reszty w szamana – psychoterapeutę. Opisywałam kolejno, co się z nią dzieje, wyprzedzałam halucynacje, podkreślałam wszystkie barwy różnych stanów psychicznych. Niełatwo po latach opisać to ściśle. Najpierw mnie słuchała, potem coraz głośniejszą zaczęła powtarzać sugerowane słowa i zdania. Po ok. 1,5 godziny samorzutnie podjęła opowieść o niby błahym wydarzeniu, które jednakowoż nabrało wagi wraz z informacją, że w owym koledze była od kilku miesięcy zakochana. Rozmawiałyśmy bardzo długo. Gdy późnym wieczorem (bądź wczesną nocą) udałam się do domu – dyżurujące osoby z personelu utrzymywały z nią kontakt słowny, aż zasnęła. Wypisana jako „rozmowna”, nie wróciła do na więcej.

Nie zapomnę również komiczno-dramatycznej sytuacji, gdy towarzysząc w karetce dziecku odwożonemu do szpitala w Żarach, jadąc zakopaną w głębokim śniegu leśną drogą (słowo daję, kiedyś w Polsce takie były), musiałam wysiąść na chwilę w celach fizjologicznych. Była ciemna noc. Gdy obnażywszy odnośną część ciała rozpoczynałam odnośną czynność, nagle wyrosły ze wszystkich stron postacie żołnierzy radzieckich

z karabinami, latarkami i okrzykami „Atkuda wy? Szto dziełajecie?”. Myślę, że mogłam stracić na długo nie tylko mowę!

W klinice parter zajmowały dzieci, natomiast piętro okupowali pacjenci wojskowi, trochę na to i owo chorujący, trochę usiłujący zwolnić się z wojska. Zdarzało się okresowo, że z powodu braków kadry ściśle wojskowej trzeba było także poprowadzić leczenie żołnierzy. Pamiętam, w latach osiemdziesiątych matka jednego z „moich” pacjentów przyniosła mi w podziękowaniu „Małą Apokalipsę” Konwickiego, wydaną w podziemiu, ze słowami: „Teraz nasz los jest w pani rękach”. Byłam bardzo zadowolona z podarunku. Pierwsze zdanie książki określało warszawski Pałac Kultury i Nauki jako „wielki szalet stojący na rozdrożach Europy”. A jak wieść gminna niesie, Moskwa składała Polsce trzy propozycje odszkodowawcze (za Wilno i Lwów?) – pałac, miasteczko akademickie lub metro w Warszawie. Wybrano pałac. Ale przecież – jak już stoi – to jest miejscem mnóstwa interesujących, pozytywnych aktywności.

Szczytem najstraszniejszego czarnego humoru byłby czarny scenariusz, gdyby Rosja zboczywszy w działaniach militarnych nieco na północny zachód od Kijowa, niechcący lub chcący posłała ów pałac w niebyt w postaci przeogromnego gruzowiska.

Wracając do kliniki: stanowiła ona integralną część Instytutu Higieny Psychiczej WAM. Szef, prof. Zdzisław Rydzyński, pełnił także funkcję naczelnego psychiatry Wojska Polskiego. W związku z powyższym stale przebywało u nas co najmniej kilku umundurowanych doktorów z całej Polski, kształcących się w psychiatrii. Kwitło więc życie towarzyskie. Mieliśmy potem ułatwione znajdowanie kwater wypoczynkowych w różnych rejonach kraju.

Profesor, z ogromnym wyczuciem spraw międzyludzkich i z ogromnym poczuciem humoru pełnił z powodzeniem rolę integrującą. Wracając do śnieżnych zim. Kiedyś idąc rano do pracy, przed budynkiem kliniki zobaczyliśmy ogromniastego bałwana. Oprócz węgielków i marchewki miał na ramionach dystynkcje pułkownika. Prawdopodobnie nocą zabawili się niezadowoleni z diagnoz pacjenci. Tylko profesor był wtedy pułkownikiem. Ale nie zgłosił faktu do prokuratury, rozbawiony poprawiał belki na bałwanie.

Pełna rzewnej tęsknoty za młodością, wspominam czas (albo święto Wojska Polskiego, albo Dzień Chłopaka czy coś w tym rodzaju), gdy z fantazją rozdałam kolegom prezenty. Tym przed czterdziestką „pieprz ziołowy”, tym po czterdziestce (byli wtedy w mniejszości) „przyprawę do piernika”. Dzisiaj myślę z uśmiechem: jakież to pierniki po czterdziestce, toż to kwiat młodości! Generalnie raczej nie jest miło, gdy ktoś komuś wypomina wiek. Niedawno parkingowa patrząc na mnie, z lubością stwierdziła: „Nawet mężowi opowiadam o pani, stara kobita, a śmiga samochodem jak młódka”. Po pierwsze, wypomniała mi niewspółczesny PESEL, a po drugie – ponieważ widzi mnie tylko na parkingu

z ograniczeniem prędkości do 5 km/godz. Jeśli więc „śmigam” tam, to chyba tylko należy mi się nieuchronny mandat.

Wracając do pana profesora. Gdy ktoś z nas guzdrał się z wykonaniem zleconego przez niego zadania, przybierał odpowiednią minę i recytował porzekadło przedwojennych drobnych biznesmenów: **Rób coś. Kup coś. Sprzedaj coś. Zarób coś. Ruszaj się. Nie siedź.**

W Święto Kobiet zbierał całą (liczną) kobiecą ferajnę, łącznie z salowymi, sprzątaczkami, żona zaś dr. Wacława przywoziła zrobiony przez siebie ogromny tort, zwany przez nas „Wacia”, celebrowaliśmy babską chwilę relaksu.

Profesor mieszkał w Głownie, odrzucał propozycje przeniesienia się do wielkich miast. Hobbystycznie zajmował się z entuzjazmem swoim skalnym ogrodem. Ponoć przeżył kiedyś następującą przygodę. Wiózł z jakiegoś kraju różnokształtne kamienie w samochodzie. Na polskiej granicy celnik pytał go:

- Pan geolog?

- Nie

- Archeolog?

- Też nie

- Jaki jest pana zawód?

- Lekarz psychiatra

- A, to proszę bardzo, droga wolna!

Do zwiedzania ogródka (i domu) zapraszał nas szef corocznie jesienią („na przyszłą wiosnę”), wiosną zaś nie pamiętał o sprawie. Kiedyś utworzyłam wierszowany anonim na temat owych niezrealizowanych zaproszeń. Sekretarka podłożyła szefowi na biurko. Co prawda nie przyznał się, że coś dostał, ale najbliższej wiosny zostaliśmy gromadnie zaproszeni do Głowna. Bawiliśmy się setnie. Korciło mnie, więc po roku sama przyznałam się do autorstwa. Były tam m.in. takie zwrotki:

Był raz pan Profesor poważny, dostojny

W Paryżu był słynny i w Głownie

Rozmyślał jak czuje się żołnierz w czas wojny

I kwiaty dobierał gustownie

[...]

Sto szefa dowcipów na pamięć już znali

Z nich śmiać się umieli rozgłośnie

Lecz nęcił ich ogród tam w Głownie w oddali

I co też na grzędach w nim rośnie.

Szef pokiwał głową, pochwalił tekst. „Ale, pani Krysiu, czy ja naprawdę ciągle opowiadam stare dowcipy?!”.

Krystyna Borysewicz-Charzyńska